

Od tradycji do prawdy

Świadectwo nawróconego księdza

Richarda Petera Bennetta

Szczęśliwe były moje dziecięce lata w ojczystym domu w Irlandii. Ośmioosobowa rodzina wspólnie bawiła się, śpiewała i urządzała przedstawienia, a wszystko to na terenie koszar w Dublinie. Ojciec, pułkownik Armii Irlandzkiej, przeszedł na emeryturę, gdy miałem dziewięć lat.

Byliśmy typową w Irlandii katolicką rodziną. Ojciec czasami klękał uroczyście koło łóżka, aby się pomodlić; matka rozmawiała z Jezusem przy szyciu, zmywaniu, nawet wypalaniu papierosa. Wieczorami klękaliśmy w bawialni, by razem odmówić różaniec. Niedzielnej mszy nie opuszczał nikt, chyba że poważnie zaniemógł. Gdy miałem lat pięć czy sześć, Chrystus był już dla mnie osobą bardzo realną jak zresztą Maryja i inni święci. Łatwo mi utożsamiać się z członkami innych tradycyjnie katolickich narodów Europy oraz z mieszkańcami Ameryki łacińskiej i Filipińczykami, którzy Jezusa, Maryję, Józefa i innych świętych wkładają do jednego worka wiary.

W szkole jezuickiej w Belvedere wpojono mi katechizm, tam też odebrałem wykształcenie podstawowe i średnie. Jak każdy chłopiec uczący się pod okiem Jezuitów, w wieku dziesięciu lat umiałem płynnie recytować pięć dowodów na istnienie Boga i wyjaśnić, czemu papież jest głową jedyne prawdziwego kościoła. Ważne było przychodzenie z pomocą duszom w czyścicu cierpiącym; wpojono nam, iż świętą i zbawienną jest rzeczą modlić się za zmarłych, aby byli od grzechów uwolnieni, choć nikt z nas nie wiedział, co to właściwie oznacza. Mówiono, iż papież, głowa kościoła, to najważniejszy człowiek na ziemi; że jego słowo jest prawem, a Jezuiti jego prawą ręką. Choć mszę odprawiano po łacinie, uczęszczałem niemal co dzień, zauroczony atmosferą tajemniczości; słyszeliśmy zresztą, iż tak właśnie podoba się

Bogu. Zachęcano do modlitw do świętych; prawie każda sprawa miała patrona. Niezbyt się do tego akurat stosowałem, nie licząc modlitw do św. Antoniego, patrona rzeczy zgubionych, często bowiem coś gubiłem.

Jako czternastolatek poczułem powołanie misjonarskie; nie wpłynęło to jednak na mój sposób życia. Lata nastoletnie były bardzo satysfakcjonujące; wiodło mi się i w nauce, i w sporcie.

Często odwoziłem mamę na zabiegi w szpitalu. Czekać raz na nią, znalazłem w książce cytaty z Ewangelii Marka 10,29-30: „A Jezus odpowiadając, rzekł: Zaprawdę powiadam wam: Nikt nie jest, kto by opuścił dom, albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo dzieci, albo role dla mnie i dla Ewangelii, Żeby nie miał wziąć stokrotnie teraz w tym czasie domów, i braci, i sióstr, i matek, i dzieci, i ról z prześladowaniem, a w przyszłym wieku żywota wiecznego.” Nie mając pojęcia o prawdziwym poselstwie Ewangelii, stwierdziłem, że na pewno mam powołanie na misjonarza.

Zarobić na zbawienie

W 1956 roku opuściwszy rodzinę i przyjaciół wstąpiłem do Zakonu Dominikanów. Osiem lat zgłębiałem istotę stanu zakonnego, tradycję kościoła, teologię Tomasza z Akwinu, filozofię i niektóre aspekty Biblii z



perspektywy katolickiej. Dominikański system religijny sprawił, że cała wiara, jaka tliła się w mej duszy, uległa instytucjonalizacji i rytualizacji; do uświęcenia miało wieść posłuszeństwo prawu kościelnemu i zakonnemu. Z Ambrose'em, Duffym ojcem duchownym studentów, nieraz

mówiliśmy o prawie jako środka uświęcenia. Pragnąłem nie tylko być świętym, ale i mieć pewność wiecznego zbawienia. Zapamiętałem sobie fragment nauczania Piusa XII: Zbawienie wielu zależy od modlitw i ofiar mistycznego Ciała Chrystusa w tej intencji; zabieganie o zbawienie cierpieniami i modlitwą to także trzon poselstw z Fatimy i Lourdes. Cierpieniem i modlitwą usiłowałem więc wysłużyć zbawienie zarówno sobie jak i innym. W dublińskim klasztorze Dominikanów w Tallaght mozoliłem się strasznie, aby tylko ocalić dusze: lodowate prysznice w środku zimy, okładanie się po plecach stalowym łańcuchem... Ojciec

duchowny studentów wiedział o tym, a jego własny przykład był dodatkowym bodźcem, by wypełniać słowa papieża. Pilnie studiowałem, modliłem się, umartwiałem i starałem się przestrzegać tak Dziesięciu Przykazań jak i mnóstwa reguł i tradycji dominikańskich.

Pompa na zewnątrz, pustka w środku

W 1963 roku w wieku 25 lat, przyjąwszy święcenia kapłańskie, kontynuowałem studia nad Tomaszem z Akwinu na Uniwersytecie Anielskim w Rzymie. Nie umiałem pogodzić się z zewnętrzną pompą i wewnętrzną pustką dookoła. Z obrazów, zdjęć i książek wyrobiłem sobie przez lata pewien wizerunek Stolicy Apostolskiej i świętego Miasta; jak się okazało, całkiem różny od tego, co zobaczyłem. Wstrząs przeżyłem też na Uniwersytecie Anielskim, widząc, że rzesz studentów wcale nie zajmuje teologia, a na wykładach oddają się lekturze Time'a i Newsweeka. Jedynymi jako tako zainteresowanymi treścią zajęć były osoby zabiegające o stopnie naukowe lub o wysoką pozycję w hierarchii kościelnej swoich krajów.

Raz udałem się na przechadzkę do Koloseum, pragnąc dotknąć ziemi zlanej krwią tylu chrześcijan. Stałem na arenie, próbując wyobrazić sobie ludzi, którzy znali Chrystusa tak dobrze, że dla Jego nieskończonej miłości byli gotowi z radością oddać życie na stosie lub arenie pełnej rozjuszonych bestii. Radość z tak głębokiego przeżycia rozwiąła się jednak w drodze powrotnej: w autobusie wyszydziła mnie grupa nastolatków, wyzywając od mętów i śmieci. Wyczułem, że robią to nie dlatego, iż jak pierwsi chrześcijanie opowiadam się za Chrystusem, lecz dlatego, że w ich oczach ucieleśniam system rzymski. Co prędzej odrzuciłem tę myśl, ale mimo to cała nauka o chwale Rzymu wydała mi się nagle nieistotna i próżna.

Jednego wieczora dwie godziny modliłem się przed ołtarzem głównym w kościele św. Klemensa. I przypomniałem sobie o swym dawnym pragnieniu służby misyjnej i o „stukrotnej” obietnicy z Ewangelii Marka 10,29-30. Postanowiłem zrezygnować z dalszych starań o stopień naukowy z teologii, do którego dążyłem od początku studiów nad teologią Tomasza z Akwinu. Była to decyzja poważna, ale po długiej modlitwie nabrałem przekonania, że jest słuszna.

Ksiądz promotor nie przyjął tego do wiadomości. Zaoferował mi pomoc w łatwiejszym dopięciu celu, proponując, abym przepisał cudzą pracę sprzed paru lat; mógłbym potraktować ją jak własną, byłem tylko na obronie przeprowadził ustną argumentację tez. Zrobiło mi się niedobrze, zupełnie tak jak parę tygodni wcześniej w parku na widok eleganckich prostytutek paradyjących dumnie w czarnych skórzanych botkach. Propozycja promotora była równie grzeszna. Pozostałem przy swojej decyzji: Uniwersytet Anielski skończyłem jak wszyscy, na normalnym poziomie akademickim, bez stopnia naukowego.

Po powrocie z Rzymu otrzymałem oficjalną decyzję, która nakazywała mi udać się na trzyletnie studia na Uniwersytecie Cork. Ale ja żarliwie modliłem się w sprawie swego misjonarskiego powołania. I oto pod koniec sierpnia 1964 roku polecono mi jechać na misje na Trynidad w Indiach Zachodnich.

Pycha, upadek i nowe łaknienie

1 października 1964 roku trafiłem na Trynidad. Całe siedem lat owocnie z perspektywy katolickiego księdza spełniałem kapłańskie obowiązki szcząc się licznym udziałem wiernych we mszy. W roku 1972 zaangażowałem się w katolicki ruch charyzmatyczny; 16 marca na spotkaniu modlitewnym dziękowałem Bogu, że taki ze mnie dobry ksiądz, prosząc, aby jeśli taka Jego wola, upokorzył mnie, bym stał się jeszcze lepszy. I tego samego wieczora w zupełnie głupi sposób uległem wypadkowi. Skutek? Rozbity tył głowy, rozliczne uszkodzenia kręgosłupa. Gdyby nie to spotkanie oko w oko ze śmiercią, wątpię, czy kiedyś wyrwałbym się ze stanu samozadowolenia. Mechaniczne odklepywanie modlitw okazało się w tej sytuacji jałowe cierpiąc ból zgłębi serca wołałem do Boga.



Cierpiąc boleśnie, zacząłem przez kolejne tygodnie znajdować ulgę w modlitwie bezpośredniej, osobistej. Odłożyłem brewiarz, oficjalne modlitwy dla księży, i różaniec, zacząłem za to korzystać w modlitwie z ustępów Pisma świętego. Był to proces ślamazarny. Nie znałem Biblii za dobrze; niewielka wiedza na jej temat nabyta na studiach skłaniała raczej

do podejrzliwości wobec niej niż do zaufania. Znajomość filozofii i teologii Tomasza z Akwinu czyniła mnie całkiem bezradnym w tej mierze, toteż zabieranie się do lektury Biblii w poszukiwaniu Pana miało posmak wyprawy bez mapy w ciemną knieję.

Gdy z końcem roku przeniesiono mnie do innej parafii, moim towarzyszem okazał się dominikanin, z którym znałem się od lat. I przepracowaliśmy dwa lata w parafii Pointe-a-Pierre, wspólnie wszelkimi znanymi nam sposobami szukając Boga. Czytaliśmy, studiowaliśmy, modliliśmy się i wprowadzali w czyn to, czego uczył nas kościół. Stworzyliśmy parafie w Gasparillo, Claxton Bay i Marabelli, by wymienić tylko te największe. Z perspektywy katolickiej religijności odnieśliśmy sukces: Na msze uczęszczało wielu wiernych, w szkołach, także państwowych, uczono katechizmu. Wprawdzie nie przerwałem poszukiwań biblijnych, ale nie miały one większego wpływu na naszą pracę; ukazywały mi za to, jak mało wiem o Panu i Jego Słowie. W tym mniej więcej czasie żarliwą modlitwą mojego serca stał się werset z Listu do Filipian 3,10:

„Żeby go poznać i moc zmartwychwstania jego...”

Ruch charyzmatyczny rozwijał się dynamicznie, zapoznaliśmy z nim wieśniaków niemal wszystkich naszych parafii. Na zaproszenie ruchu przyjechała na Trynidad grupa kanadyjskich chrześcijan. Dużo się dowiedziałem z ich wykładów, głównie o modlitwie o uzdrowienie. Nauczanie było co prawda zbyt zorientowane na doznania, ale przyniosło skutek: zachęciło mnie do głębszego zaufania autorytetowi Biblii. Zacząłem porównywać ustępy, ba, cytować je z podaniem numeru rozdziału i wersetu! Kanadyjczycy często przytaczali werset 53,5 z Księgi Izajasza: „...a sinością jego jesteśmy uzdrowieni.” Przystudiowawszy starannie cały 53 rozdział odkryłem, że Biblia rozwiązuje problem grzechu poprzez ofiarę zastępczą. Zrozumiałem, że Chrystus umarł za mnie i że błędę, chcąc samemu zapłacić za swój grzech lub mieć w tej zapłacie własny udział.

„A ponieważ z łaski, tedyć już nie z uczynków, inaczej łaska już by nie była łaską” [Rz 11,6].

„Wszyscyśmy jako owce zbłądzili, każdy na drogę swą obróciliśmy się, a Pan włożył nań nieprawość wszystkich nas” [Iz 53,6].

Uprzykrzonym moim grzechem była skłonność do złości na ludzi, nieraz wręcz gniew, brak serca. Prosiłem Boga o przebaczenie, nie rozumiejąc, że grzesznikiem jestem z natury, odziedziczonej po Adamie. Prawda Pisma brzmi: „Jako napisano: Nie masz sprawiedliwego ani jednego” (Rz 3,10), oraz: „...wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej” (Rz 3,23). Lecz kościół wpoił mi, że moją grzeszność, zwaną grzechem pierworodnym, zmył chrzest w wieku niemowlęcym. Głowę dalej w to wierzyłem, ale serce podpowiadało, że ta grzeszna natura nie została jeszcze wcale przez Jezusa pokonana. I wołało:

„Żebym go poznał i moc zmartwychwstania jego” [Flp 3,10]. Pojąłem, że życie chrześcijańskie można wieść tylko dzięki Jego mocy. Przyklepiłem sobie ten werset na tablicy rozdzielczej samochodu i innych miejscach, stał się mottem mego życia. A Pan, który jest Bogiem wiernym, zaczął odpowiadać.

Najważniejsze pytanie

Po pierwsze, odkryłem, że Słowo Boże w Biblii ma charakter absolutny i nie zawiera błędów. Przedtem uczono mnie, że jest ono względne, a jego prawdziwość można w wielu miejscach podważyć; teraz zauważałem, że Biblii można ufać. Korzystając z Konkordancji Stronga, zacząłem badać, co sama Biblia ma do powiedzenia na swój temat. I odkryłem jasne przesłanie, że pochodzi ona wprost od Boga, a jej poselstwo ma charakter absolutny. Jest niezmiennie wiarygodna pod względem historycznym, pod względem obietnic, jakich udzielił Bóg, pod względem proroctw oraz pod względem nakazów moralnych i wskazówek dotyczących życia chrześcijańskiego.

„Wszystko Pismo od Boga jest natchnione i pożyteczne ku nauce, ku strofowaniu, ku naprawie, ku ćwiczeniu, które jest w sprawiedliwości; Aby człowiek Boży był doskonały, ku wszelkiej sprawie dobrej dostatecznie wycwiczony” (2Tm 3,16-17).

Odkrycia tego dokonałem w Vancouver i w Seattle. Gdy poproszono mnie o kazanie dla grupy modlitewnej przy parafii św. Szczepana, wybrałem za temat absolutny autorytet Słowa Bożego. Po raz pierwszy w życiu

pojąłem tę prawdę i po raz pierwszy o niej mówiłem. Po powrocie ze Seattle do Vancouveru powiedziałem to kazanie w dużym kościele przed audytorium około 400 osób. Dzierżąc w dłoni Biblię oznajmiłem, że Biblia jako Słowo samego Boga jest absolutnym i ostatecznym autorytetem we wszystkich sprawach wiary i obyczajów.

Po trzech dniach wezwał mnie arcybiskup Vancouveru James Carney. Oficjalnie zamknął mi usta, zabraniając nauczania na terenie swojej diecezji. Oznajmiono mi też, że kara byłaby znacznie surowsza, gdyby nie list polecający od mojego biskupa Anthony'ego Pantina. Wkrótce wróciłem na Trynidad.

Kościół czy Biblia?

Jeszcze jako proboszcz w Pointe-a-Pierre, dostałem do pomocy Ambrose'a Duffy'ego, surowego ojca duchownego z seminarium. Sprawy stały więc na głowie, ale po okresie napięć staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Zwierzałem się mu ze swych odkryć; słuchał z zajęciem, chciał też wiedzieć, co mną kieruje w tych poszukiwaniach. Widziałem w nim pośrednika, przez którego dotrę do braci dominikanów, a nawet do kręgu arcybiskupa. Gdy niespodzianie zmarł na atak serca, z trudem doszedłem do siebie. W Ambrosie widziałem kogoś, kto rozwiąże mój dokuczliwy dylemat: kościół czy Biblia, kto wyjaśni i mnie, i innym dominikanom prawdy, z którymi się zmagam. Wygłosiłem homilię na jego pogrzebie, bardzo załamany.

Dalej modliłem się werselem z Listu do Filipian 3,10: „Żeby go poznać i moc zmartwychwstania jego”. „Boć jeden jest Bóg, jeden także pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jezus.” (1Tm 2,5) wynikało, iż niewłaściwą jest moja rola kapłana-pośrednika, a nauka kościoła na ten temat całkiem sprzeciwia się Biblii. Lubiłem to uczucie: osoby przez ludzi szanowanej, a nawet czczonej. Swój grzech usprawiedliwiałem argumentem, iż jeśli tak głosi największy kościół świata, to kimże jestem, aby to podważać? Wewnętrzna walka jednak nie ustawała. Dostrzegłszy grzeszność kultu Maryi, świętych i księży, byłem już gotów odmówić Maryi i świętym statusu pośredników; nie potrafiłem jednak wyrzec się kapłaństwa: była to przecież moja życiowa inwestycja.

Lata zmagañ

Maryja, święci, kapłaństwo stanowiły tylko wycinek ogromnego teatru wojny, jaka się we mnie toczyła. Kto był Panem mego życia: Jezus Chrystus w swym Słowie czy Rzym? To pytanie huczało mi w głowie bez ustanku, zwłaszcza przez ostatnie sześć lat probostwa w Sangre Grande



(1979-1985). Już w dzieciństwie wrażono mi w umysł przeświadczenie, że kościół katolicki to najwyższy autorytet w sprawach wiary i obyczajów; nie umiałem się tego przekonania pozbyć. Rzym był nie tylko najwyższym autorytetem zwałem go przecież świętą Matką. Czy mógłbym sprzeciwić się świętej Matce? Tym bardziej, że odgrywałem

niepoślednią rolę w udzielaniu jej sakramentów i nakłanianiu ludzi do wierności wobec niej!

W 1981 roku w Nowym Orleanie na parafialnym seminarium odnowy odnowiłem postanowienie służby w kościele katolickim; ale po powrocie na Trynidad i konfrontacji z problemami codzienności znów zwróciłem się do Słowa. Wewnętrzne napięcie stało się nie do zniesienia; ucierpiał mój żołądek, rozchwiały się emocje. Raz upatrywałem absolutu w kościele rzymskim, kiedy indziej znów autorytet Biblii uznawałem za ostateczny; a przecież powinienem pamiętać o tej prawdzie: Nie można dwom panom służyć. Ja tymczasem usilnie starałem się podporządkować absolutny autorytet Słowa Bożego najwyższemu autorytetowi Kościoła Rzymskokatolickiego.

Konflikt ten dobrze ilustrują moje poczynania z czterema figurami w kościele Sangre Grande. Wyrzuciłem figury św. Franciszka i św. Marcina, bo w Księdze Wyjścia drugie przykazanie głosi: „Nie czyn sobie obrazu rytego” (Wj 20,4). Kiedy jednak niektórzy parafianie zaprotestowali przeciw usunięciu obrazu Przenajświętszego Serca i figury Maryi, ustąpiłem; bo władza wyższa, czyli kościół rzymski, w kanonie 1188 swego prawa głosiła: „Należy zachować praktykę umieszczania w kościołach świętych obrazów, by doznawały czci ze strony wiernych” [1]

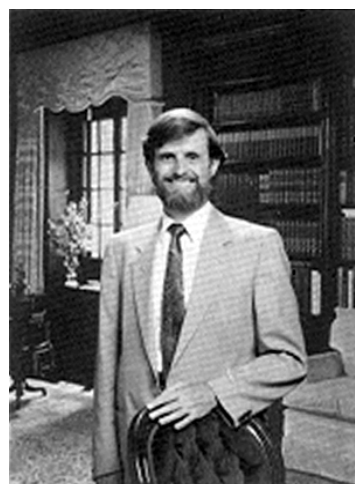
Nie dostrzegałem, że czyniąc tak podporządkowuję Słowo Boże słowu ludzkiemu.

Mimo odkrycia absolutnego charakteru Słowa Bożego desperacko trwałem przy teorii, iż kościół rzymski posiada autorytet większy niż Słowo, nawet jeśli jego orzeczenia jaskrawie przeczą Biblii. Jak to było możliwe? Niewątpliwie sam byłem sobie winien. Gdybym uznał autorytet Biblii za najwyższy, Słowo przekonałoby mnie do rezygnacji z kapłańskiej roli pośrednika; na tę ofiarę nie chciałem się jednak zdobyć. Po drugie, nikt nie podważał tego, co czyniłem jako kapłan. Na msze do nas przychodzili chrześcijanie z różnych dalekich krajów, widzieli nasze święte oleje, wodę święconą, medaliki, figurki, szaty liturgiczne, rytuały i nigdy nie zareagowali ani słowem! Niezwykły przepych, symbolizm, muzyka i smak artystyczny kościoła rzymskiego robiły swoje; tajemnicza woń kadzidła uderza mocno nie tylko w nozdrza, ale i do głowy.

Punkt zwrotny

Raz jakaś pani zwróciła mi uwagę (był to jedyny przypadek na 22 lata): Wy, katolicy, macie tylko pozór pobożności, ale wyrzekacie się jej mocy. Słowa te jakiś czas spędzały mi sen zoczu. Kochałem kościelne lampy, sztandary i wesołą muzykę ludową, gitary, bębny. Zapewne na całym Trynidadzie nie było drugiego księdza, który posiadałby tak barwne szaty liturgiczne i chorągwie. Lecz w środku nie było mi tak kolorowo.

W październiku 1985 roku łaska Boża okazała się silniejsza niż kłamstwo, z którym usiłowałem żyć. Pojechałem na Barbados, aby się modlić, zaniepokojony kompromisem, do którego się zmuszam. Byłem w pułapce. Owszem, miałem Słowo Boże za absolut, godny posłuszeństwa, ale też mówiłem sobie, że przecież przed obliczem Boga ślubowałem posłuszeństwo kościołowi. Na Barbados czytałem książkę, w której wyłożono biblijny sens słowa kościół wspólnota wierzących. W kościele nowotestamentowym nie ma śladu hierarchii i obce jest pojęcie kleru kierującego świeckimi; biblijny kościół chce zachować słowa Jezusa: „Albowiem jeden jest mistrz wasz, Chrystus; ale wy jesteście wszyscy braćmi” (Mt 23,8).



Widząc, iż kościół oznacza wspólnotę, już bez oporów porzuciłem wiarę w najwyższy autorytet kościoła katolickiego i oparłem się tylko na Jezusie jako Panu. Na podstawie Pisma zauważyłem, że znani mi katoliccy biskupi nie są wcale wierzący w biblijnym sensie słowa. To ludzie pobożni, oddani kultowi Maryi, wierni różańcowi, lojalni wobec Rzymu, ale nie mający pojęcia o dokończonym dziele zbawienia, doskonałej ofierze Chrystusa, o tym, iż zbawienie ma charakter osobisty i pełny. Uczą o pokucie za grzechy, ludzkim cierpieniu, uczynkach religijnych o drodze ludzkiej, nie o drodze Bożej. Dzięki łasce Pana pojąłem, iż zbawić nie może ani kościół, ani uczynek.

„Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest; Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Ef 2,8-9).

Nowe narodziny w wieku 48 lat

Nie mogąc pogodzić życia w Jezusie Chrystusie z wiernością nauce Rzymu, porzuciłem kościół katolicki. Opuściwszy Trynidad w 1985 roku, zatrzymałem się na pobliskim Barbados, w gościnie u starszego małżeństwa. Prosiłem Pana, by zaopatrzył mnie w garnitur i środki na podróż do Kanady; moje cywilne ubrania nadawały się tylko do strefy zwrotnikowej, acały majątek liczył paręset dolarów. Modlitwy zostały wysłuchane, choć o potrzebach tych wspominałem tylko Panu.

Z 35-stopniowego upału tropików trafiłem wprost w śniegi i lody Kanady. Spędziwszy miesiąc w Vancouverze pojechałem do Stanów Zjednoczonych, ufając, że Pan zaspokoi każdą mą potrzebę; nowe życie rozpoczynałem bowiem w wieku 48 lat, bez grosza przy duszy, bez karty stałego pobytu, prawa jazdy i jakichkolwiek listów polecających z samym tylko Panem i Jego Słowem.

Pierwsze pół roku spędziłem na farmie w stanie Waszyngton. Gospodarzom wyjaśniłem, że opuściłem kościół katolicki i przyjąłem Jezusa Chrystusa, a Jego Słowo, Biblię, uznaję za wystarczające we wszystkich sprawach życiowych. Oznajmiłem, że jest to krok bezwarunkowy, ostateczny, zdecydowany i przemyślany. Na gospodarzach te cztery przymiotniki nie zrobiły pożądanego wrażenia; koniecznie chcieli wiedzieć, czy nie ma we mnie goryczy, zapiekłego żalu. Pokrzepili mnie modlitwami i wyrozumiałością, bo przeszedłszy podobne doświadczenia wiedzieli, że łatwo można ulec rozgoryczeniu. W cztery dni od przyjazdu tam ze skrucą zacząłem dostrzegać owoc zbawienia.

Nie tylko mogłem prosić Pana o odpuszczenie tyloletniego życia w kłamstwie, ale i zacząłem doznawać Jego uzdrawiającej mocy tam, gdzie jątrzyły się głębokie rany. W końcu w wieku 48 lat na podstawie autorytetu samego tylko Słowa Bożego i tylko dzięki łasce uznałem zastępczą ofiarę Chrystusa na krzyżu. Tylko Jemu niech będzie chwała. Gdy dzięki staraniom gospodarzy i ich rodziny doszedłem do siebie fizycznie i duchowo. Pan dał mi żonę Lynn: na nowo narodzoną w wierze, urzekającą w obyciu, lotnego umysłu. Wyruszyliśmy do Atlanty, gdzie oboje dostaliśmy pracę.

Prawdziwy misjonarz, prawdziwe poselstwo

We wrześniu 1988 roku wyjechaliśmy do Azji na misje. Był to rok niezwykle owocny w Panu, o jakim przedtem nawet nie śniłem. Wielu ludzi uznawało autorytet Biblii oraz moc śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Zdumiewałem się, z jaką łatwością działa w sercach łaska Boża, gdy głosząc Jezusa Chrystusa wspieramy się tylko Biblią. Jakże różniło się to od pajęczyny tradycji kościelnej, która całkowicie przesłoniła 21 lat mojej posługi na Trynidadzie, 21 lat bez poselstwa prawdy. Obfite życie, o którym mówił Jezus i którym się dziś raduję, najlepiej oddają słowa z Listu do Rzymian 8,1-2:



„Przetoż teraz żadnego potępienia nie masz tym, który będąc w Chrystusie Jezusie nie według ciała chodzą, ale według Ducha. Albowiem zakon Ducha żywota, który jest w Chrystusie Jezusie, uwolnił mię od zakonu grzechu śmierci.”

Nie tylko uwolniono mnie z systemu rzymskiego, ale i w Chrystusie stałem się nowym stworzeniem. Dzięki łasce Bożej, i tylko dzięki niej, porzuciłem martwe uczynki, by wejść do nowego życia.

Świadectwo o Ewangelii łaski

Gdy w 1972 roku ktoś uczył mnie o Panu jako uzdrowicielu ciała, powinien był przede wszystkim powiedzieć, jak zostaje odpuszczony grzech i jak mimo grzesznej natury mogę pojednać się z Bogiem. Biblia ukazuje, że Jezus zastąpił nas na krzyżu; mówią o tym słowa Izajasza 53,5: „Lecz on zraniony jest dla występków naszych, starty jest dla nieprawości naszych; kaźń pokoju naszego jest na nim, a sinością jego jesteśmy

uzdrowieni." (Poniósł karę, którą za swe grzechy powinienem cierpieć ja. Przed obliczem Ojca mogę Mu zaufać jako ofierze zastępczej). Słowa te napisano na 750 lat przed ukrzyżowaniem Pana; a niedługo po Jego śmierci i zmartwychwstaniu Piotr apostoł ogłosił: „Który grzechy nasze na ciele swoim zaniósł na drzewo, abyśmy obumarłszy grzechom sprawiedliwości żyli, którego sinością uzdrowieni jesteście” (1P 2,24).

Jako dziedzice natury Adama, wszyscy zgrzeszyliśmy i brak nam chwały Bożej. Jak zatem możemy stanąć przed obliczem Świętego Boga, jeśli nie w Jezusie, uznając, że umarł On za nas? Bóg daje wiarę potrzebną do nowego narodzenia i zdolność uznania Jezusa za naszą ofiarę zastępczą. Bo to On zapłacił cenę za nasze grzechy; choć sam bez grzechu, został ukrzyżowany. To poselstwo Ewangelii. Czy zatem tylko wiara wystarczy? Tak, wiara osoby narodzonej na nowo wystarczy. Wiara ta pochodzi od Boga i rodzi dobre czyny, z których pierwszym jest nawrócenie. „Albowiem czynem jego jesteśmy stworzeni w Chrystusie Jezusie ku uczynkom dobrym, które przedtem Bóg zgotował, abyśmy w nich chodzili” (Ef 2,10).

Nawracając się, porzucamy dzięki mocy Bożej dawne życie i dawne grzechy. Nie znaczy to, że odtąd nie zgrzeszymy, lecz zmienia się nasz status przed obliczem Boga: Zostajemy nazwani dziećmi Bożymi i naprawdę nimi jesteśmy. Jeśli mimo to grzeszymy, wystawiamy na szwank swoją przyjaźń z Bogiem, ale może ona zostać zaraz naprawiona; nie grozi nam już utrata statusu dziecka Bożego w Chrystusie, bo status to nieodwołalny. List do Hebrajczyków 10,10 ogłasza cudowną prawdę: „Przez którą wolę jesteśmy poświęceni przez ofiarę ciała Jezusa Chrystusa raz uczynioną.”

Dokończone dzieło Jezusa na krzyżu w pełni wystarcza, jest doskonałe. Składając pełną ufność w tym dziele, stajemy się uczestnikiem nowego życia, pochodzącego od Ducha: rodzimy się na nowo.

A dziś...

Dziś moim zadaniem, dobrym dziełem, jakie Pan już wcześniej dla mnie przygotował, jest głosić Ewangelię na północnym zachodzie USA. Słowa, które o Żydach powiedział apostoł Paweł, mogę odnieść do umiłowanych braci katolików: że z całego serca pragnę ich zbawienia i modłę się za

nimi do Boga. Bo muszę im wydać świadectwo, że pałają żarliwością ku Bogu, nie opartą jednak na pełnym zrozumieniu Jego Słowa, ale na



kościelnej tradycji. Gdybyście wiedzieli, z jakim oddaniem i poświęceniem praktykują swą religię niektórzy bracia i siostry, choćby na Filipinach i w Ameryce Południowej, pojęlibyście, czemu zgłębi serca wołam: „PANIE, DAJ NAM WSPÓŁCZUCIE, BYŚMY MOGLI POJĄĆ BÓL I CIERPIENIE, JAKIMI SIĘ OBARCZAJĄ NASI BRACIA I SIOSTRY ZE WZGLĘDU NA CIEBIE. BO POJĄWSZY BÓL W SERCACH KATOLIKÓW, ZAPĄŁAMY

PRAGNIENIEM, ABY UKAZAĆ IM DOBRĄ NOWINĘ O DOKOŃCZONYM DZIELE CHRYSYTA NA KRZYŻU”.

Moje świadectwo dowodzi, jak trudno katolikowi odrzucić tradycję kościoła. Ale skoro Pan w swym Słowie tego wymaga, trzeba to zrobić. „Pozór pobożności” w kościele rzymskim przeszkadza katolikowi dostrzec sedno problemu. Muszę wybrać, zgodnie z jakim autorytetem będę rozpoznawać prawdę. Według Rzymu prawda da się rozpoznać tylko mocą jego orzeczeń. Kanon 212 Kodeksu prawa kanonicznego (ogłoszonego w 1983 roku przez Jana Pawła II) mówi: „To, co święci pasterze jako reprezentanci Chrystusa wyjaśniają jako nauczyciele wiary albo postanawiają jako kierujący Kościołem, wierni, świadomi odpowiedzialności, obowiązani są wypełniać zchrześcijańskim posłuszeństwem.” [2] Ale według Biblii autorytetem jest samo Słowo Boże i na jego podstawie można rozpoznać prawdę. Tradycje ludzkie skłoniły Reformatorów do wystąpienia z postulatem: tylko Biblia, tylko wiara, tylko łaska, tylko w Chrystusie i tylko Bogu należy się chwała!

Dlaczego składam świadectwo

Dzielę się tym, byś i Ty mógł poznać Bożą drogę zbawienia. Największym naszym jako katolików błędem jest przekonanie, iż jesteśmy w stanie samodzielnie zareagować na pomoc, którą oferuje Bóg, chcąc pojednać nas ze Sobą. Założenie to, wyznawane latami przez wielu z nas, trafnie

oddano w Katechizmie Kościoła Katolickiego (1994), w punkcie 2021: „Łaska jest pomocą, jakiej udziela nam Bóg, byśmy odpowiedzieli na nasze powołanie i stali się Jego przybranymi Synami...” [3]

Obierając ten sposób myślenia, podążamy za nauką, którą Biblia raz po raz potępia. Taka definicja łaski to starannie obmyślane dzieło człowieka; Pismo bowiem podkreśla, iż pojednanie wierzącego z Bogiem następuje „sprawiedliwość bez uczynków” (Rz 4,6), „nie z uczynków” (Ef 2,9), jako „dar to Boży” (Ef 2,8). Przypisanie wierzącemu części zasługi za zbawienie i postrzeganie łaski jako pomocy jaskrawo przeczy choćby takiej prawdzie biblijnej: „A ponieważ z łaski, tedyć już nie z uczynków, inaczej łaska już by nie była łaską”(Rz 11,6).

Proste poselstwo Biblii głosi, że „dar sprawiedliwości” w Jezusie można otrzymać tylko na mocy Jego doskonałej ofiary złożonej na krzyżu. „Albowiem jeżeli dla jednego upadku śmierć królowała przez jednego, daleko więcej, którzy obfitość onej łaski i dar sprawiedliwości przyjmują, w żywocie królować będą przez tegoż jednego Jezusa Chrystusa” (Rz 5,17). Sam Chrystus stwierdził, że poniósł śmierć zamiast wierzącego, Jeden za wielu (Mk 10,45), dając życie na okup za innych. I oznajmił: „...to jest krew moja nowego testamentu, która się za wielu wylewa na odpuszczenie grzechów” (Mt 26,28).

To samo zwiastował apostoł Piotr: „Bo i Chrystus raz za grzechy cierpiał, sprawiedliwy za niesprawiedliwych, aby nas przywiódł do Boga” (1P 3,18).

Naukę apostoła Pawła streści werset 5,21 Drugiego Listu do Koryntian: „Albowiem on tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się my stali sprawiedliwością Bożą w nim.”

Fakt ten, drogi Czytelniku, Pismo święte podaje bez ogródek, a Bóg wzywa, byśmy go uznali: „Pokutujcie, a wierzcie Ewangielii” (Mk 1,15).

Najtrudniejszą w nawróceniu jest dla nas, gorliwych katolików, zmiana sposobu myślenia: przejście od zasług, zarabiania, dobrych uczynków ku pokornemu przyjęciu daru sprawiedliwości w Chrystusie Jezusie. Odmowa przyjęcia tego, co nakazuje Bóg, jest takim samym grzechem, jaki popełniali pobożni Żydzi w czasach Pawła: „Bo nie znając

sprawiedliwości Bożej, a chcąc własną sprawiedliwość wystawić, sprawiedliwości Bożej nie byli poddani.”(Rz 10,3).

Nawróćcie się i uwierzcie w Dobrą Nowinę!

Richard Bennett, nawrócony ksiądz



Od dawna na emeryturze, nadal dokładał wszelkich starań, aby kontynuować swoją działalność misyjną, „Berean Beacon” („Latarnia Berei”). Pisał wiele artykułów i odpowiadał na korespondencję na ten temat. Gorącą modlitwą Richarda Bennetta było, aby jak najwięcej osób, zwłaszcza katolików, a przede wszystkim księży, znalazło Pana i Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Po długim i bolesnym okresie cierpienia Richard wszedł do chwały niebieskiej 23 września 2019 roku. Lynn poszła za nim 4 lipca 2020 roku.

Wielojęzyczna strona internetowa www.bereanbeacon.org nadal oferuje wiele tekstów oraz materiałów audio i wideo na temat różnic między Kościołem rzymskokatolickim a przesłaniem Biblii.

Przypisy:

[1] Kodeks prawa kanonicznego, Pallottinum, 1984, s. 473.

[2] Ibid., s. 109; § 1.

[3] Katechizm Kościoła Katolickiego, Pallottinum, 1994, s. 464.

(Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004. Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka włoski za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).

Wykorzystano polskie tłumaczenie Biblii zatytułowane „Biblia Gdańska (1881)”.